

VIII Obóz koncentracyjny Malchow

1. Wstęp

Obóz koncentracyjny Malchow znajdował się około 3 km od miasta Malchow, obok szosy wylotowej w kierunku północno-zachodnim. Jakie było jego przeznaczenie trudno ocenić, gdyż przebywałem w nim krótko (od 29.04 - 02.05.1945r.)

W tym czasie pełnił rolę obozu przejściowego, do którego zapędzano transporty piesze z innych ewakuowanych obozów. Przeważnie transporty te były zdziesiątkowane forsownymi marszami.

Wobec tego, że obóz ten był obozem małym (parę drewnianych bloków) zatłoczenie było niesamowite. Brak było miejsc na blokach, dlatego ludzie koczowali na dworze, gdzie tylko było możliwe. Nie było żadnej organizacji, nikt nie interesował się przydziałem na bloki, wyżywieniem, porządkiem organizacyjnym, czy higienicznym.

Pod koniec naszego pobytu zapędzano tam także transporty kobiece.

2. Pobyt w obozie

Wejście do obozu było dla nas bardzo tragiczne. Taki łomot kijami dostaliśmy, że nie wiedzieliśmy kiedy przekroczyliśmy bramę obozu. Dopiero po kilku minutach oprzytomnieliśmy leżąc pod jakimś blokiem.

W końcu pozbieraliśmy się do kupy, rozejrzeliśmy się po obozie i postanowiliśmy coś przygotować do jedzenia. Cieszyliśmy się, że nie pogubiliśmy kartofli, które nazbieraliśmy po drodze do obozu.

Większość więźniów biwakowała na dworze ze względu na ogromny tłok. Palili ogniska i gotowali przeważnie kartofle, które też zorganizowali po drodze.

Też postanowiliśmy rozpaść ognisko, aby ugotować trochę kartofli. Ale skąd zdobyć drewno? Zacząłem chodzić po obozie i rozglądać się za możliwością zdobycia czegoś do palenia. Zobaczyłem, że w jednym bloku kradną deski z prycz. Szybko skorzystałem z okazji i zdobyłem jedną deskę. Ale jak ja porąbać? Niedaleko ogrodzenia obozu (z drutów kolczastych) znalazłem duży odłamek kamienia, którym tłukąc w deskę (jak w okresie kamienia łupanego) połamałem ją na małe polana, co dało możliwość rozpalenia ogniska.

Po rozpaleniu ogniska i zdobyciu wody przygotowaliśmy kartofle do gotowania. Oczywiście kartofle nie obierało się tylko jadro w łupinach, aby nie utracić odrobiny pożywienia. Gdyby nie zdobyło się wody można było piec kartofle w ognisku, ale gotowane były o wiele lepsze, bo potem można wypić gorącą wodę, w której gotowały się ziemniaki.

Kiedy tak zajęty byłem gotowaniem usłyszałem głośnie wołanie:

– Ej Kamerad, Kamerad!

Rozejrzałem się. Nikogo wokół siebie znajomego nie zauważyłem. Wołanie jeszcze powtórzyło się. Spojrzałem w kierunku drutów. Patrząc, a za drutami stoi żołnierz (nasz wybawiciel), którego z nami przyprowadzono. Podszedłem bliżej drutów, żeby porozmawiać:

– Masz może chleb - zapytałem,

–Nie. Nie dali jeszcze nic do jedzenia. Dali tylko karabin i wysłali na wartę. Jak zdobędę chleb, to rzucę ci przez druty.

–Dobrze. Będę uważał.

I tak rozstaliśmy się. Więcej go nie wiedziałem i nie wiem, co się z nim stało. Prawdopodobnie wysłali go do pilnowania kolejnego transportu pieszego więźniów.

Noc spędziliśmy na dworze, gdyż o zmieszczeniu się na bloku nie było mowy. Dobrze że pogoda była piękna i można było spać na ziemi. Do tego byliśmy już dobrze przyzwyczajeni

Rano, kiedy chodziliśmy po obozie, spotkałem przypadkowo kolegę ze szkolnej ławki Czesława Wasilewskiego z Łap (syn zawiadowcy stacji w Łapach). Ogromnie ucieszyliśmy się, ponieważ on przebywał w innym obozie i też z transportem pieszym trafił do Malchow. Trzymał się dobrze. Do nas nie dołączył, bo był w grupie kolegów z tamtego obozu, ale spotkanie to tak jak znalezienie się w korcu maku. On przebywał na północy Niemiec, my na południu i spotkaliśmy się w Malchow.

Wobec tego że obóz był obozem przejściowym, co dzień szykowano transporty piesze do ewakuacji.

My na razie nie spieszyliśmy się, ponieważ posiadaliśmy jeszcze kartofle. Odpoczywaliśmy. Ale kiedy kartofle skończyły się postanowiliśmy iść na transport, gdyż podczas transportu pieszego łatwiej zdobyć pożywienie, szczególnie kartofle, które Niemcy przechowywali w kopcach w pobliżu dróg. W obozie zdobycie pożywienia było niemożliwe.

3. Ewakuacja

Wobec tego, że skończyły nam się kartofle i nie można było zdobyć żadnego pożywienia, postanowiliśmy pójść na transport. Co dzień pod bramą szykowano grupy wyjściowe po 500 osób, właśnie do takiej dołączyliśmy i my, to znaczy ja i Stasiak Łapiński. Kilkakrotnie przeliczono, wyznaczono konwojentów i w końcu koło południa grupa wyruszyła w dalszą ewakuację.

Co dziwne, że dowódcą tego transportu był esesman, który nas złapał jako uciekinierów, początkowo chciał nas rozstrzelać, a potem wysłał do obozu w Malchow. Do tego jednym z wachmanów był starszy wiekiem człowiek, który nas doprowadził do obozu po tym incydencie.

To nas ucieszyło, bo był dobrym człowiekiem i podczas marszu postanowiliśmy trzymać się jego bliżej. Oczywiście nie zawsze się to udawało.

Większość starszych wiekiem wachmanów była zmęczona tymi marszami i wojną i mniej reagowała na różne incydenty, natomiast paru młodszych wiekiem do ostatniej chwili byli agresywni, strzelali do nas i bili za byle co.

Maszerowaliśmy drogą przez tereny leśne, dlatego to nie stwarzało okazji do zdobycia jedzenia. Dotarliśmy w końcu do mostu nad kanałem lub rzeką, na którym pracowali saperzy. Komando zatrzymano.

Dowódca długo z nimi dyskutował. Pozwolili przejść, ale biegiem. Jak tylko przebiegliśmy most, ogromny wybuch wstrząsnął powietrzem, a zwały betonu poleciały w powietrze. Mniejsze odłamki dosięgnęły i nas, ale poważniejszych zranień nie było.

Być może pod mostem była tama, bo po wybuchu wał wodny potoczył się na łąki.

Dalszy marsz odbywał się bez problemu, lecz zdobycie pożywienia nie było możliwe, gdyż marsz odbywał się w terenie lesistym, drogami podrzędnymi i w związku z tym nie można było trafić na kopce kartofli.

Na noc zatrzymano nas na skraju lasu, lecz trudno było znaleźć dobre legowisko, ponieważ podłoże porośnięte było kolczastymi jeżynami. O świcie ruszyliśmy w dalszą drogę. Po jakimś czasie weszliśmy w tereny bardziej rolnicze, co stwarzało możliwość zdobycia pożywienia.

Kiedy przechodziliśmy przez jakieś osiedle, zobaczyłem, że w jednym domu jest otwarte okno, a w oknie stoi dziewczyna trzymająca kawałek chleba. Zorientowałem się że chce podać chleb. Podbiegłem do płotu i wyciągnąłem ręce, żeby chwycić chleb. Ona też wychyliła się, ale nie mogłem sięgnąć pajdy. W tym momencie dobiegł jakiś „wielkolud”, który sięgnął po chleb i zabrał go. Dziewczyna zorientowała się, że chleba nie dostałem, złapała drugi kawałek i rzuciła pod płot. Wsadziłem rękę między sztachety, ale nie mogłem sięgnąć. Dosłownie brak było paru milimetrów. Wcisnąłem jeszcze bardziej rękę, ale w tym momencie dobiegł wachman i dał kopniaka, aż przekoziółkowałem.

Wskoczyłem do szeregu. Wściekły byłem, że nie zdobyłem chleba. Nie dość że nie zdobyłem, to jeszcze pokaleczyłem rękę o sztachety.

Maszerując dalej, weszliśmy na bardziej ruchliwą szosę, po której posuwały się oddziały wojskowe, jak i uciekinierzy.

Po paru godzinach marszu, zauważyliśmy przy drodze kopiec z kartoflami.

Więźniowie rzucili się na niego, aby zdobyć trochę kartofli. To wywołało złość u wachmanów. Zaczęli bić kolbami i kopać więźniów. Kiedy odpędzili więźniów z jednej strony kopca, pobiegli na drugą stronę, by tłuc następnych więźniów. Postanowiłem tę okazję wykorzystać, aby nabrać ziemniaków. Stasiak mi odradzał, aby nie ryzykować. Ja jednak byłem na tyle zdesperowany poprzednimi niepowodzeniami zdobycia czegoś do jedzenia, że zaryzykowałem. Kiedy nabierałem kartofle i pakowałem za koszulę, nie zauważyłem, jak nadbiegł wachman i dał mi takiego kopniaka, że przewróciłem się, aż wysypały się kartofle, a do tego wypadła puszka konserwy, którą miałem schowaną.

Była to mała puszka, którą dostaliśmy w paczce Czerwonego Krzyża. Trzymaliśmy ją ze Staśkiem na czarną godzinę i nosiliśmy na zmianę. Szkoda było ją utracić. Szybko podniosłem się złapałem puszkę i zacząłem zbierać rozsypane ziemniaki. Wachman odpędziwszy innych, zobaczył że jeszcze jestem. Ze złości pchnął mnie bagnetem. Przewróciłem się, ale złapałem za bagnet. Widzę, że wachman robi krok, aby mnie mocniej pchnąć. Nie miałem możliwości cofnąć się, gdyż byłem w pozycji półleżącej, ani odepchnąć bagnet, gdyż miałem za mało siły.

Zrobiłem w tym momencie obrót ciałem i odepchnąłem bagnet w bok, przez co bagnet wbił się w ziemię. Zerwałem się i zacząłem uciekać w szeregi więźniów. Szczęście, że wachman nie miał załadowanego karabinu, bo mógł mnie zastrzelić. Kiedy wpadłem w szereg odetchnąłem z ulgą. Stasiak był podenerwowany tą sytuacją. Krzychał:

– Mówiłem żebyś nie ryzykował.

– Nic się nie stało, mamy kartofle - odpowiedziałem.

Kiedy dalej maszerowaliśmy, poczułem w bucie mokro. Sądziłem, że to ze zdenerwowania. Podniosłem nogawkę i zobaczyłem łydkę całą czerwoną od krwi. Zdębiałem. Patrzę, pasiak ma czerwoną plamę na wysokości serca, zajrzałem pod koszulę i widzę ciekącą krew z rany. Przycisnąłem ręką ranę i dalej maszerowałem. W końcu krew zaschła wraz z ubraniem.

Idąc rozmyślałem nad sytuacją. Gdybym nie chwycił bagnetu w odpowiednim momencie, mógł wbić mi w serce, a tak przebił mi tylko osłonę żebrową. Blizna pozostała na całe życie.

Wachmani mieli włoskie karabinki, przy których bagnet przymocowany był na stałe i łamany pod lufą. Posiadał przekrój kwadratowy jak bagnety radzieckie.

Można go było szybko odwrócić w pozycję bojową, stąd wachman tak szybko skoczył do mnie z otwartym bagnetem.

Maszerowaliśmy jeszcze parę godzin, a na nocleg zatrzymano nas na skraju lasu. Zaczęliśmy rozpalać ognisko.

Postanowiliśmy ugotować kartofle, które zdobyłem, a także zjeść tę puszkę konserw, ponieważ czułem się bardzo osłabiony.

O ucieczce z transportu nie było co marzyć, gdyż wszędzie było pełno wojska, tak na drogach jak i w lesie.

Teren na którym znajdowaliśmy się był wąskim pasem Niemiec, ściskanym z dwóch stron frontami: ze wschodu front radziecki, z zachodu front amerykański.

Uciekinierzy i żołnierze z rozbitych jednostek byli dezorientowani zaistniałą sytuacją. Nie mniej wszyscy starali się iść na zachód, aby nie dostać się do sowieckiej niewoli.

Komendant naszego transportu też był zagubiony, dlatego często zmienialiśmy kierunki marszu. Wysyłał wachmanów na rozpoznanie, którzy wypytywali szczególnie żołnierzy o sytuację.

Po zjedzeniu kartofli i po ogrzaniu się przy ognisku usnęliśmy kamiennym snem.

Już o świcie komendant poderwał nas do dalszego marszu. Przez drogi podrzędne wyszliśmy na szosę zapchaną uciekinierami i wojskiem.

Prawą stroną posuwały się konne tabory wojskowe wymieszane z wozami uciekinierów, natomiast lewą stroną szli piesi uciekinierzy, a także transporty więźniów.

Po kilku kilometrach marszu trochę przerzedziło się na szosie. Nagle obok szosy, na polnej drodze równoległej do szosy, zobaczyłem jednostkę bojową składającą się z czołgów, transporterów i samochodów. To mnie zdziwiło, skąd mają benzynę. Przeważanie spotykaliśmy tabory konne.

Jednostka ta także posuwała się w tym samym kierunku, co my. W obecnej chwili stała na postoju.

Mijając ich zauważyłem na jednym z czołgów młodego chłopaka - żołnierza (chyba niewiele starszego ode mnie), który przyjaźnie się uśmiechał.

– Kolego, daj mi kawałek chleba - prosiłem - jestem bardzo głodny.

Spojrzał, dał znak ręką żebym zatrzymał się, nachylił się w luk wieży i kogoś zapytał

– Erich, mamy jeszcze chleb, jest tu młody chłopiec, bardzo głodny.

Z wieży wyjrzał średniego wzrostu brodacz. Spojrzał, chyba mój wygląd wzbudził w nim litość (ważyłem niewiele ponad 30kg) i powiedział:

– Ein moment (chwilczkę) - i schował się w luku wieży.

– Zaczekaj - powiedział młody.

Spojrzałem w bok. Koniec mojej kolumny był jeszcze daleko. Żaden z wachmanów mnie jeszcze nie zauważył. A może się uda - myślałem.

– Zaczekaj - powtórzył młody i podał mi rękę, żeby wciągnąć na czołg. Wszedłem.

– Skąd jesteś? - pytał młody.

Pomimo że byłem doświadczonym więźniem, to w swojej chłopięcej naiwności nie zdałem sobie sprawy z niebezpieczeństwa sytuacji, jaką wytworzyłem.

Taki obrazek, jak dwóch młodych chłopców, jeden w mundurze Wehrmachtu, drugi w więziennym pasiaku, stojąc na czołgu podają sobie rękę, dobry byłby na afisz zakończenia wojny, ale w obecnej sytuacji stwarzał dla mnie śmiertelne niebezpieczeństwo.

Nie zdążyłem wziąć chleba, ani odpowiedzieć młodemu, gdy potężny cios skosił mnie na ziemię.

Leżałem na ziemi nie mogąc chwycić oddechu, ani zerwać się do ucieczki.

Widziałem, jak młody wrzeszcząc na wachmana groził kulakiem. Zdało mi się, że młody sięgnął po pistolet. Z wieży wrzeszczał brodacz. Wachman odskoczył parę kroków i zarepetował karabin. W tym momencie dobiegł drugi wachman. To poniosło brodacza. Obrócił wieżę kierując broń na wachmanów. Wystraszyli się. Jeden skoczył za konie furmanki, która zatrzymała się, drugi wskoczył w kolumnę więźniów. Także zarepetował broń.

To jeszcze bardziej wzburzyło brodacza. Ja w tym momencie, ostatnim wysiłkiem, zerwałem się (chyba dzięki Opatrzności) i wskoczyłem w szereg więźniów.

To mnie uratowało. Usłyszałem wrzaskliwe komendy brodacza i w tym momencie czołg zawracał, zrobił zwrot o 90° i ruszył na wachmanów.

Nastąpiła panika. Konie z piskiem rzuciły się do rowu, więźniowie w panice uciekali w różne strony nie znając przyczyny natarcia czołgu. Sądzieli, że przez zemstę chcą ich zlikwidować. Biegiem przegnano nas do przodu.

Nie wiem, jak zakończyła się sprawa z czołgiem. Nas po przegnaniu kilkuset metrów zatrzymano. Wachmani biegali dopytując się, kto był na czołgu. Oczywiście nie przyznałem się. Trudno było rozpoznać. Szczęście, że nie byłem zakrwawiony (miałem tylko złamane żebra).

Wszyscy bali się następstw - nie wiedzieli, o co chodzi. Szczęście, że zbliżał się koniec wojny i cały Ordnung załamał się. W przeciwnym wypadku rozstrzelano by mnie lub zakładników. W swej młodszej nieświadomości wziąłbym na swoje sumienie życie paru kolegów. Odetchnąłem z ulgą, kiedy usłyszałem:

– Marschieren! Schneller! Schneller!

Maszerując w kolumnie rozmyślałem nad sytuacją. Wczoraj lewy bok przebiłem bagnetem, a dziś w prawym połamałem żebra. Byłem załamany. Wokół tak pięknie, tak zielono, słonecznie - przeurocza wiosna (chyba w życiu tak pięknej wiosny nie miałem), a mnie dosięgło tyle nieprzewidywanych zdarzeń, grożących nie tylko zdrowiu, ale i życiu. A wszystko po to, aby zdobyć kawałek chleba.

Stasiek chciał mi pomóc

– Puść, pójdę sam - powiedziałem.

Jakaś otucha wewnętrzna dodała mi sił. O nie, nie poddam się - muszę zwyciężyć.

Zacząłem zastanawiać się nad reakcją młodego i brodacza. Przecież byłem dla nich chłopcem reprezentującym przeciwną stronę. A jednak chcieli mi dać kawałek chleba, a nawet stanęli w mojej obronie.

Być może ich akcja nie była w mojej obronie, a wynikała z naruszenia przez wachmanów ich dumy „pancerniaków” (prawdopodobnie tak było).

Trudno to osądzić. W każdym bądź razie, czyn ich stał się dla mnie godnym do naśladowania.

Idąc nadal rozmyślałem nad tym incydentem.

Wtedy postanowiłem, że jeżeli przeżyję i będę żołnierzem, to założę organizację żołnierzy przyjaciół dzieci, którzy stają w obronie tych najmłodszych.

Przeżyłem. Byłem żołnierzem, ale pomysł poszedł w zapomnienie. Wojna skończyła się i nie było takiej potrzeby.

Po przejściu kilku kilometrów, znowu skręciliśmy w jakąś bardziej podrzędną drogę. Mniej była zatłoczona.

Widać było, że komendant był mocno zdezorientowany. Zatrzymywał transport, wysyłał wachmanów na rozpoznanie, analizował mapy. Na drogach panował niesamowity tłok i bałagan. To był naprawdę wąski pasek niemiecki ściskany z dwóch stron frontami. Stąd taka dezorientacja wojska i uciekinierów.

Na nocleg zatrzymaliśmy się na skraju lasu. Byliśmy zmęczeni nie tylko my, ale i wachmani, szczególnie starsi wiekiem.

O świcie ruszyliśmy w dalszą drogę. Wyszliśmy znowu na drogę zapchaną uciekinierami, a wojsko obsadzało przydrożne lasy. Zauważyliśmy, że w niektórych miejscach wojsko okopuje się przyjmując pozycje obronne.

Ale szosa żyła swoim życiem i wszyscy posuwali się do przodu.

Idąc poboczem szosy natknęliśmy się na grupę więźniarek z Ravensbrück, stojących nad rowem, z którego dochodził niesamowity jęk dziewczyn.

Zatrzymałem się i podszedłem do nich. Widząc, że to są Polki, zapytałem:

– Co, postrzelił, ranna?

Nie odpowiedziały. Zacząłem przepychać się, aby zobaczyć co się stało.

– Gdzie się pchasz, to nie dla ciebie - powiedziała któraś z dziewczyn.

– Co, nie dla mnie - odpowiedziałem z butą. Ale jedna ze starszych więźniarek rzekła:

– Puście go, niech zobaczy jak to lekko.

Dopchałem się do rowu. Kiedy zobaczyłem, to zdębiałem z wrażenia.

W rowie leżała dziewczyna i rodziła dziecko. Z krocza wysuwał się, jak gdyby różowy balon, to była główka dziecka. Między nogami klęczała jedna z więźniarek, masowała żołądek i podtrzymywała główkę dziecka. Do tego głośno krzyczała:

– Pchaj, mocno!

Obok stała druga dziewczyna (chyba jej koleżanka) trzymając w ręku dużą chustę lub kocyk. Płakała. Obie były w cywilnych ubraniach, prawdopodobnie przymusowe pracownice (nie sądzę, żeby to były Niemki). Rodząca niesamowicie jęczała. Cofnąłem się i podszedłem do Staśka.

– Rodzi dziecko - powiedziałem.

– W rowie - zapytał Stasiek.

– Tak, w rowie - odpowiedziałem.

Ruszyliśmy w dalszą drogę. Nie mogłem otrząsnąć się z wrażenia. W swej młodzieńczej wyobraźni, nie zdawałem sobie sprawy, że rodzenie dziecka wymaga tyle bólu. Do tego wszystko to odbywało się w tak podłych warunkach.

Idąc rozmyślałem, jak można pomóc w takiej sytuacji. Czy tylko słowa: pchaj, mocno, wystarczają.

Kiedyś marzeniem moim było zostać lekarzem chirurgiem. Może dlatego, że jako dziecko, byłem w szpitalu i wielokrotnie widziałem jak chirurdzy zmęczeni wychodzili z sali operacyjnej. To mnie zafascynowało, chciałem zostać chirurgiem.

Teraz kiedy widok cierpiącej dziewczyny wpłynął na moją wyobraźnię, wpłynął również na moje zdanie. Chcę pomagać rodzącym kobietom (nie wiedziałem wtedy jak nazywa się taki lekarz).

Lecz przyszłość zweryfikowała moje marzenia i obrałem zupełnie inny kierunek. Maszerowaliśmy dalej zapominając o tym wydarzeniu, koncentrując się na innych, które w tym drogowym chaosie wyniknęły.

Po jakimś czasie usłyszeliśmy strzelaninę.

Działo przeciwpancerne, które było okopane po lewej stronie drogi, zaczęło prowadzić ogień, ale nic nie było widać, gdyż wokoło były krzaki. Potem kanonada i strzelanina rozpełtała się na dobre. Piesi pochowali się do przydrożnego rowu i rowem uciekali do przodu. To samo robili nasi i wachmani. Gorzej było z wozami konnymi uciekinierów. Pomimo że wszyscy tłukli konie batami, kolumna taborów nie mogła szybko ruszyć. Prawdopodobnie z przodu był jakieś poważny zator. Być może konie zostały trafione.

Jeżeli koń został trafiony pociskiem, to inni wywracali wóz wraz z koniem do rowu i jechali dalej popędzając konie.

Były takie sytuacje, że popędzany koń, wskakiwał przednimi nogami na poprzedni wóz, idąc po drodze tylko na tylnych nogach.

Panowała ogromna panika. Wszyscy uciekali do przodu, ale ja i paru jeszcze więźniów, opóźnialiśmy ucieczkę, posuwając się w rowie skokami po parę kroków.

Rów dawał dobrą osłonę. Dawał nadzieję, że może nas wyzwoli.

Bitwa się nasilała, ale nie było widać, kto atakuje - Rosjanie, czy Amerykanie.

W pewnym momencie, celny pocisk trafił w działo przeciwpancerne, tak celnie, że od wybuchu żołnierze fruwali jak żaby w powietrzu.

Po jakimś czasie wyjechał z krzaków czołg, na którym powiewała flaga amerykańska. To tak podziało na nas, że jeden Włoch nie wytrzymał, wyskoczył na szosę, chwycił czapkę w rękę i podniósłszy ręce do góry wrzeszczał: - Victoria! Vivat Ameryka!

Seria z automatu jakiegoś Niemca uciszyła go na zawsze. Szkoda. Entuzjazm i euforia wzięła górę nad rozsądkiem.

Pod naporem ognia czołg amerykański musiał schować się w krzaki, chociaż prowadził bardzo intensywny ostrzał z działa i broni maszynowej. Najbardziej zdziwiło mnie to, że na czołgu siedzieli żołnierze ostrzeliwując Niemców z automatów.

Ze względu na nasilający się ostrzał zaczęliśmy szybciej posuwać się do przodu, spoglądając z nadzieją na wyzwolenie w kierunku Amerykanów.

W tym momencie zobaczyliśmy jak mija nas niemiecki samochód osobowy, w którym wiozą rannego generała (widziałem lampasy). Był zakrwawiony. Z boku podtrzymywał go żołnierz. Na masce siedziało dwóch żołnierzy i tłukli kolbami pieszych, żeby szybciej przejechać.

Raptem z krzaków wyjeżdżają niemieckie czołgi wycofujące się z bitwy. Dojechali do szosy, ale nie mogli przez nią przejechać ze względu na zatłoczenie szosy przez wozy konne. Krzyčili żeby im ustąpić drogi. Jednak nie odniosło to skutku wśród ogarniętych paniką uciekinierów. Podjechał dowódca samochodem terenowym i zaczął wrzeszczeć:

– Vorwärts! (naprzód)

Żołnierze z wieży czołgu pokazują, że nie mogą bo szosa zatłoczona. Dowódca dzielił kijem żołnierza i jeszcze raz wrzasnął:

– Vorwärts! (naprzód)

Silniki zawarczały i pierwszy czołg poszedł na wozy.

Słychać pisk koni, krzyk ludzi i trzask łamanych wozów. Za pierwszym ruszyły następne czołgi. Walka jest bezwzględna i straszna.

Szokujące z tego wszystkiego było to, że po przejściu na drugą stronę drogi, zaczęli czołgi podpalać, a sami uciekać.

Znaleźliśmy się w bardzo trudnej sytuacji. Wybuchające czołgi wyrzucały w powietrze rozrywające się pociski i inne palące się elementy. Nawet przydrożny rów nie dawał nam bezpiecznego schronienia. Musieliśmy szybko uciekać. Odbiegliśmy dalej od bitwy. Strzelanina pozostała za nami. Na szosie znajdowało się niewiele ludzi. Wozów prawie w ogóle nie było.

Nasz transport rozsypał się. Posuwaliśmy się małymi grupami. Wokół wachmana szła grupa więźniów, bojąc się odłączyć, aby nie trafić na zbyt agresywnych żołnierzy.

Nasza trójka (ja, Stasiek i jakiś Francuz) szliśmy jakieś 100 metrów za grupą, nie spiesząc się aby ich dogonić. A może nas wywoła? - ciągle o tym myśleliśmy i ciągle mieliśmy przed oczami flagę amerykańską.

Raptem zauważyliśmy, że przez pole idzie jakiś żołnierz niemiecki, patrzy i kieruje się na nas.

– Co on na nas tak patrzy - powiedział Stasiek.

– Nie wiem, ale nie ma broni. Może się do nas nie przyczepi?

Kiedy doszedł do nas, zatrzymaliśmy się.

Zasalutował i mówi, że już wyrzucił broń. Był okopcony na twarzy i lęk miał w oczach. Widać było po nim, że jest w szoku po tej bitwie.

– Ale nas to nie interesuje - odpowiedziałem. Popatrzył na nas i jeszcze raz zapytał:

– Sind sie Amerikanen? (jesteście Amerykanami?)

- Nie, nie jesteśmy Amerykanami.
- A gdzie są Amerykanie? - zapytał.
- Nie wiem, idź zapytaj wachmana, idzie tam z przodu - pokazałem ręką.

Poszedł. Chyba w tym szoku poplątał mu się nasz pasiak z flagą amerykańską.

Kiedy doszedł do wachmana, uderzył go ręką po ramieniu, że o mało co nie wypadł wachmanowi karabin. Wachman podskoczył wystraszony. Coś rozmawiali. Potem pobiegł dalej.

My jednak po jakimś czasie dołączyliśmy do grupy. Dobrze się złożyło, że w tej grupie był starszy wiekiem wachman, który wcześniej dał się poznać jako dobry i uczciwy człowiek.

Pod wieczór komendant, który był na przodzie zbierał maszerujące z wachmanami grupy. Dużo więźniów pogubiło się, bo komando znacznie zmniejszyło się. My byliśmy ostatni, którzy dołączyliśmy do komanda.

Komendant zezwolił na nocleg w lesie. Kazał tylko nie palić dużych ognisk. Widzieliśmy, że był zaskoczony zaistniałą sytuacją. Nie wiedział jakie decyzje podejmować. Wachmani wyraźnie odpuścili dyscyplinę, byli załamani, czuli się, jak gdyby byli naszymi towarzyszami niedoli. Ale dwóch, czy trzech było nadal zawziętych. Strzelali do nas za byle co. Widocznie dobrze byli wychowani za zasadach hitlerowskich: Hitlerjugend, czy NSDAP.

IX Wyzwolenie

Nie tylko my, ale i rozbite oddziały wojskowe pałętały się po drogach lub koczowały w lesie. Wszyscy byli zdezorientowani - co, gdzie, jak?

Znowu zaszyliśmy się w jakieś lasy, a komendant wysyłał patrole na rozpoznanie.

Najgorzej, że byliśmy głodni i nie można było zdobyć pożywienia. Zaczęliśmy znowu gotować pokrzywy i mlecz.

Kiedy wyszliśmy na jakąś drogę, zobaczyłem, że żołnierze zostawili resztki zabitej krowy (tylko skóra i trochę kości). Skoczyłem, aby chociaż ukroić kawałek skóry. Nie spodziewałem się reakcji wachmanów, ale jeden z tych zatwardziałych strzelił do mnie. Biegiem wskoczyłem z powrotem w szereg. Chciał strzelić drugi raz, ale obok maszerujący stary więzień Czech, uderzył go po rękę i zaczął wymyślać, że koniec wojny, a on strzela. Drugi z wachmanów zwrócił mu uwagę, żeby przestał się wygłupiać, co spowodowało, że zatwardzialec uciekł.

Będąc w szeregu zauważyłem, że przestrzelił mi połą płaszcza. Incydent ten mógł dla mnie skończyć się tragicznie.

Wyszliśmy znowu na szosę zapchaną uciekinierami i wojskiem, kierując się do miejscowości Plau. Miejscowość tę minęliśmy po południu, idąc na zachód na Lütz.

Droga zapchana była wojskiem z rozbitych oddziałów. Nie widać było ciężkiej broni, samochodów i czołgów. Były to przeważnie tabory konne i oddziały piesze. Niektórzy żołnierze byli z bronią, inni bez.

Wszyscy parli na zachód, bo bali się dostać do niewoli sowieckiej, woleli amerykańską. Mniej było wozów uciekinierów, więcej było uciekinierów pieszych, więźniów i więźniarek z obozów koncentracyjnych.

Po przejściu paru kilometrów zauważyliśmy w rowie leżącego rannego konia. Na pewno miał złamane nogi. Dogorywał. Dotychczas takie ranne konie były dobijane, ale w tym wypadku nikt tego nie dokonał.

Kiedy nadeszła grupa wygłodzonych więźniów, rzucili się z nożami, aby ukroić kawałek mięsa. Zapewne sądzili, że koń już nie żyje. Kiedy zaczęli kroić, koń zaczął piszczeć i wierzgać, w końcu zamilkł.

Kiedy ja dopchałem się, aby ukroić kawałek mięsa, to koń był z wierzchu okrojony i nie było co wziąć. Zobaczyłem, że z zębów wystaje kawałek ozora. Odciąłem go i wrzuciłem do menażki.

Na pewno incydent z koniem nie był przyjemny, powiem więcej, makabryczny, ale głód w człowieku wyzwała różne reakcje.

Zaraz ruszyliśmy w dalszą drogę, wraz ze starym wachmanem, który czekał na nas, aż zdobędziemy coś do jedzenia.

Zbliżał się już wieczór, kiedy doszliśmy do miasta Lütz. Miasto było zapchane uciekinierami i wojskiem. Na głównej drodze, na połowie jej szerokości, zrobiona była barykada. Przy barykadzie siedziało uzbrojone wojsko. W momencie mijania barykady, jeden z podoficerów patrząc na nas powiedział:

– Ja bym tę bandę wystrzelał.

Jak widać zawziętość niektórych nie opuszczała do ostatniej chwili. Ale my trzymaliśmy się blisko naszego wachmana, aby jakiś oszołom krzywdy nam nie wyrządził.

Minęliśmy miasto w spokoju i zbliżaliśmy się do wsi Lutheran (około 3 km od Lütz). Wtem z przodu kolumny usłyszeliśmy niesamowite krzyki i widzieliśmy z entuzjazmem wyrzucane do góry czapki.

– Niech żyje Ameryka!!!

Krzyczano w różnych językach.

– Stasiek, co się dzieje - krzyknąłem

– Nie wiem

Patrzmy a w naszym kierunku przez tłum więźniów i uciekinierów przeciskają się jakieś pojazdy opancerzone.

– Stasiek, patrz, chyba się pomylili, jadą Rosjanie, a krzyczą niech żyje Ameryka. To są ruskie czołgi.

Pomieszało mi się, gdyż na transporterach namalowane były pięcioramienne gwiazdy, tylko nie zwróciłem uwagi, że są koloru białego a nie czerwonego.

Ale kiedy pierwszy transporter podjechał do nas i z niego wychylił się żołnierz i w niezrozumiałym dla nas języku coś do nas zaczął mówić, ja także dołączyłem się do wznoszonych okrzyków:

– Niech żyje Ameryka!!!

Ludzie niesieni entuzjazmem dosłownie pchali się pod koła pojazdów. Lecz najważniejszym wydarzeniem, które spotkało nas Polaków, nastąpiło przy przejeździe drugiego transportera. Z luku transportera wychylił się amerykański żołnierz i czystą polszczyzną krzyknął do nas:

– Czołem koledzy, czołem! Niech żyje Polska!!!

To było 7 maja 1945 roku - wyzwolenie.

[...]